

Helena z Pleteników Jarosz

NIE ZAWSZE MŁODOŚĆ BYŁA PIĘKNA

Jestem rodowitą muszynianką, urodziłam się w 1923 roku, w ubogiej muszyńskiej rodzinie Pleteników¹. Posiadaliśmy 58 arów ziemi ornej, na której rodzice uprawiali ziemniaki, jęczmień, kapustę, karpiele, a na kawałku ogrodu trochę jarzyn. Produkty te stanowiły podstawę wyżywienia dziewięcioosobowej rodziny. Mieszkaliśmy na ulicy Kościelnej pod numerem 36. Połowę domu od ulicy zajmował gospodarz Piotr Piróg, a drugą połowę – od strony ogrodu i toru kolejowego – moja babcia Pletenikowa. Babcia młodo owdowiała. Musiała sama więc troszczyć się o wychowanie trojga dzieci: córki Michaliny i synów Józefa i Jana. Michalina wyszła za mąż i w 1920 roku wyemigrowała wraz z mężem „za chlebem” do Stanów Zjednoczonych. Znaleźli się w stanie Michigan, w Detroit. Również brat Jan wraz z żoną wyjechał razem z nimi. Nie szczęściło im się na obczyźnie. Trafili na kryzys – nie mogli znaleźć pracy. Na domiar tej niedoli Michalina niechcący wznieciła pożar. Rozpalając w piecu, polała benzyną podpałkę, jednak były tam jeszcze iskry z poprzedniego palenia i bańka z benzyną wybuchła. Matka zdażyła swoich dwóch synów wyrzucić przez okno, a sama szukała kilku dolarów, schowanych za obrazem przed mężem, nie bardzo chętnym wtedy do pracy. Ogień ją ogarnął, zdażyła jeszcze wyskoczyć przez okno, cała w płomieniach. Niestety była tak poparzona, że zmarła. Mąż po jej śmierci wziął się uczciwie do pracy. Zarobił trochę dolarów i z młodszym synem przyjechał do Polski, do Muszyny.

Stryj Jan, który nie wyjechał ze Stanów, stanąwszy trochę na nogi, stał się podporą naszej rodziny. Na każde święta Bożego Narodzenia i Wielkanoc przysyłał w liście 5 dolarów. Babcia czekała na listy od Jana jak na zbawienie. Za te 5 dolarów kupowała lepszą żywność na święta. Nasza rodzina składała się wtedy z babci, mamy, taty i sześciorga dzieci, z których jedno – Zosia – zmarło w wieku 3 lat. Pozostała piątka to: najstarsza siostra Stanisława, następnie ja, Helena, potem brat Jan, siostra Janina oraz najmłodsza Aniela-Anna. Mieszkaliśmy wszyscy w jednej dużej izbie. Znajdował się w niej stół kuchenny, taboret, półka zwana „romem” na miski i talerze, pod oknem stała drewniana ława z oparciem i paką, do której wkładało się pościel. Na niej spał ojciec. W kącie stało duże rodzinne łóże, które zrobił brat mamy, stolarz – tu spała mama z małymi dziećmi. Przy głównej ścianie, gdzie wisiały święte obrazy, była szafa, komoda i łóżko babci. Koło pieca stała skrzynia na ubrania, a na środku izby stół. Ostatni kąt zajmowały piec: kuchnia do gotowania, piec do pieczenia chleba i kamyczkowy piec

¹ Nasze rodowe nazwisko brzmiało: Pletenik. Zostało w latach dwudziestych zmienione na Platenik. Ta wersja pojawiła się na naszych świadectwach szkolnych, od tego czasu w dokumentach całej rodziny stosowano tę pisownię. Jednak w metrykach ojca i matki widnieje wersja Pletenik.

grzewczy. To był nasz cały majątek.

Babcia nasza była położną – akuszerką, tak zwaną „babką”. Nie miała w tym kierunku wykształcenia, ale jak sama mówiła: „przywiodła pół Muszyny na świat”. Od czasu do czasu zarobiła parę złotych. Przez dwa tygodnie chodziła też kąpać nowo narodzone dziecko, była również zapraszana na chrzciny.

Nasz ojciec, który brał udział w I wojnie światowej przeciw Rosji i Włochom, był dwa razy ranny od kuli karabinowej. Stacjonował na Węgrzech, nad jeziorem Balaton. Z ran leczył się w Ostrawie i w Budapeszcie. Pełniąc pewnego razu wartę nad jeziorem, nie został zmieniony i niewiele brakowało, a byłby zamarzł. Od tego czasu, po dotkliwym przemrożeniu nóg, miał otwarte rany na udach i goleniach. Ponieważ był analfabeta, nie umiał się postarać o rentę inwalidzką, borykając się z cierpieniem przez całe życie.

Ojciec zajmował się uprawą naszej roli. Po żniwach musiał jęczmień wymłócić cepem w sieni domu, na klepisku, a żarno mełło się w żarnach na mąkę. Z tej grubej mąki najczęściej gotowany był tzw. „czyr”². Mieliśmy też w podwórku stajenkę, a w niej jedną krowinę, która dawała litr mleka. Z mlekiem jedliśmy ten czyr oraz ziemniaki.

Ojciec chodził też do żydowskich domów, przygotowywać drzewo na opał. Żydzi kupowali od Rusnaków na targu furę „katulek”³ drzewa, a ojciec piłował to ręczną piłką na mniejsze kawałki, czyli drwa do palenia. Musiał też sam się starać o opał do domu. Miał taki ręczny wózek z dyszlem, zabierał go do lasu i znalezione kawałki gałęzi połamanych przez burzę ładował i ciągnął do domu (w zimie na „kopanicach”⁴).

Mama była sprzątaczką w szkole. Wstawała o czwartej nad ranem, żeby zdążyć napalić w klasach. W pewnym okresie sprzątała też pocztę. Przy ulicy Kościelnej, w domu Pyrciów, była swojego czasu biblioteka – mama paliła też tam w piecu grzewczym. Często również szła do Żydów prac bieliznę pościelową. Czasami przyniosła do domu „listek” zaoszczędzonego mydła, żeby wyprać coś dzieciom w domu. Do mamy należał obowiązek przynoszenia trawy dla krowy z Zamuszynki w płachcie na plecach.

W roku 1938 zmarła nasza babcia (1859-1938), więc zapanowała jeszcze większa bieda. W rok później rozpoczęła się II wojna światowa, potęgując naszą nędzę.

Wspomnę jeszcze o moim rodzeństwie i naszym wykształceniu. Najstarsza siostra skończyła tylko czwartą klasę – musiała zajmować się rodzeństwem. Ja, Helena, garnęłam się do nauki, chodziłam regularnie do szkoły. Zdarzyło mi się dwa razy opuścić lekcję od klasy pierwszej do siódmej. Jedyne w klasie siódmej miałam dwie oceny dobre, poza tym same bardzo dobre. Wygrałam też w klasie siódmej konkurs „pięknego pisma”. W latach 1937-1939 istniała w Muszynie trzyletnia Szkoła Doksztalająca Zawodowa. Po siódmej klasie mogłam iść od razu na drugi rok tej szkoły, którą ukończyłam kilka miesięcy przed wybuchem wojny. Byłam ekspedientką u państwa Karwałów, ale po

² Czyr – potrawa z grubo mielonej mąki jęczmiennej, gotowanej „na gęsto” we wrzącej wodzie, a po przestudzeniu w miskach zalewanej mlekiem.

³ Katulka – liczący ok. 1 m długości niekorowany kawałek drewna, służący na opał po pocięciu go na mniejsze części.

⁴ Kopanice – zimowy pojazd na płozach, ciągnięty przez człowieka, załadowany drewnem lub innymi przedmiotami.

wybuchu wojny brakowało towarów do sprzedaży i stałam się niepotrzebna.

Niemcy zabrali mnie, razem z innymi 16-letnimi dziewczętami do mycia podłogi w dawnym Domu Zdrojowym. Potem kazano mi zmywać żołnierskie menażki. Było to dla nas pomocne, bo dostawałam dzbanek zupy do domu. Pamiętam, że żołnierz – magazynier, Austriak, raz włożył mi do dzbanka kawał grubej kiełbasy i załat zupa. Moja praca „przy menażkach” nie trwała jednak długo, bo pewna kobieta, ponoć znająca język niemiecki, załatwiła tę pracę dla siebie. Po kilkunastu latach widziałam ją uczestniczącą w uroczystościach ZBOWID-u. Chyba też kiedyś była więźniem, mimo, że znała niemiecki.

Nadmienię jeszcze, że w 1939 roku sprzątałam u pewnej pani, która ze swą wychowanicą, studiującą nawet na Sorbonie, wybudowała willę w Muszynie, pod Malnikiem. Nazwała ją „Jasna”. Gdy zaczęła się wojna, wychowanica zmuszona była, w celach zarobkowych, udzielać lekcji języka niemieckiego. Czasem w czasie tych lekcji podsłuchiwałam pod drzwiami. Ona to zauważyła, spytała, czy mnie nauka interesuje, a kiedy potwierdziłam, pozwoliła mi przynieść zeszyt i też się uczyć. Nie musiałam płacić. W ten sposób w ciągu 2 – 3 miesięcy poznałam podstawy języka niemieckiego.

Niewątpliwie bieda sprzyjała rozwojowi chorób. Mama zachorowała na kataraktę. Już w 1939 roku słabo widziała, ale nie było pieniędzy na leczenie. Tymczasem zostałam wyznaczona przez władze okupacyjne do wyjazdu na roboty przymusowe do Niemiec. 11 kwietnia 1940 roku specjalnym transportem zabrano nas do Krakowa, gdzie przeszliśmy dezynfekcję ubrań, odwszawianie, odświeżbianie i inne „badania”. W tym samym czasie moja mama została przez Magistrat wraz z opiekunką wysłana do szpitala św. Łazarza w Krakowie na operację oczu. Mój kuzyn, który był w tym transporcie, widział ją idącą do szpitala. Za kilka dni do ojca przyszła wiadomość, że mama zmarła przy operacji i została pochowana w zbiorowej mogile przy szpitalu.

Kiedy w maju 1940 roku wzięto do następnego transportu do Niemiec moją starszą o dwa lata siostrę Stanisławę, biedny, pięćdziesięciodwuletni ojciec został sam z trojgiem dzieci. Brat miał wtedy jedenaście lat, siostra osiem, a najmłodsza Aniela – pięć. Nad Anielą zlitowała się siostra mojej mamy, wzięła ją do siebie pod Jastrzębik. Do szkoły chodziła tylko do trzeciej klasy. Starszą Janinę zabrała do swego mieszkania żona policjanta, pani Soskowa. Został jeszcze brat Janek. Brat babci, chrzestny ojciec Jasia, wziął go do siebie na Zazamcze, za pastuszką do krowy Tyroli. Mojego braciszka życie u wuja nauczyło różnych „sztuczek”. Nigdy nie dostawał do jedzenia tego, co jadła rodzina wuja. Miała mu na przykład wystarczyć do ogryzienia głowa z królika czy kury. Kiedyś rzucił pod układającą się do snu krowę Tyrolę kurę, która siedziała na grzędzie, a wuj, robiąc wieczorną inspekcję, znalazł ją i sądząc, że stało się to przez przypadek, nie miał o nic pretensji. A ponieważ żona wujka brzydziła się zdechłej kury, została ona przeznaczona do jedzenia dla Jasia, który ze smakiem zjadł w końcu porządny posiłek. Poprawa jadłospisu tak mu się spodobała, że za jakiś czas powtórzył swój „niecny” podstęp. Wuj zaczął jednak coś podejrzewać, wywiercił w sąsiadującej ze stajnią wygodce dziurę i szpiegował Jasia. Udało mu się w końcu złapać chłopca na gorącym uczynku, wpadł więc do stajni i dalejże kijem bić Jasia, który podniósł wrzask: „Ratunku, sierotę biją!”

Wujowi wstyd było przed sąsiadami, wycofał się więc i poszedł do domu. Podobnie zaradny Jasiu radził sobie z mlekiem, podpijając z garnka stojącego w komorze przez słomkę i dolewając wody, by nie zdradził go ślad po śmietanie na ścianie naczynia. Kiedyś, wysłany przez wuja na strych, podpatrzył, w jaki sposób ciotka ucina kawałek słoniny wędzącej się w kominie. Naśladowując ją, zwędził kawał słoniny, natarł ślad po obcięciu sadzą z komina, a swoją cenną zdobycz przemycił biednemu ojcu. Szedł do niego wieczorem, przez Basztę. W ciemnościach.

Jasio wraz z swym kolegą Olkiem pasali razem krowy na tzw. Pastewnikach na Zazamczu, pod lasem. Gdy było zimno, grzali się przy ognisku. Czasem – jak to dzieci – przychodzili do nich chłopcy niemieccy z Hitlerjugend, szukając towarzystwa rówieśników. Pewnego dnia Jasiu z przyjacielem złapali zaskrońca, poćwiartowali go i piekli nad ogniskiem. Niemieccy chłopcy nadeszli i pytali, czy to *Fisch*, czyli ryba. Dano im do zrozumienia, że owszem i młodzi Niemcy, sądząc, że to węgorz, schrupali całego zaskrońca. Wcześniej Jasio ubił interes, uzyskując obietnicę przyniesienia – w zamian za poczęstunek – porcji twardego sera. „Hitlerjugendzi” z obietnicy się wywiązali...

Jasio podbierał kurom ciotczynym jajka i zamieniał czasem z Niemcami na chleb lub suche bułki. Te zdobycze stanowiły zaopatrzenie dla ojca.

Brat wspominał pewnego berlińczyka, który przybył do Muszyny z frontu na trzy tygodnie, żeby wypocząć. Był w Rosji, gdzie panowały czterdziestostopniowe mrozy i miał odmrożone nogi i uszy. Po upływie tych trzech tygodni musiał wracać na wschód. Opowiadał, że jest żonaty, ma dwóch synów w wieku 3 i 6 lat. Dał bratu na pamiątkę zdjęcie żony z dziećmi, wziął na kolana jak syna i mówił: „Pojutrze odjeżdżam znowu na wschód. Nie wrócę do Niemiec, zginę w Rosji. Żona i dzieci nie zobaczą mnie już...” Zasób słów niemieckich wystarczył bratu, by zrozumieć to przejmujące wyznanie.

Brat mieszkał u wuja, ojciec sam marzył i głodował w swej izbie. Siostra i ja pracowałyśmy w tym czasie ciężko u gospodarzy w III Rzeszy. Ja miałam wtedy 16 i pół roku, siostra była o dwa lata starsza. Los sprawił, że siostra trafiła o 30 km ode mnie. Moja gospodyni, kiedy nauczyłam się jeździć na rowerze, zorganizowała nam spotkanie. Widziałyśmy się dwa razy. Młodsze rodzeństwo zobaczyłam dopiero po wojnie.

Kiedy zabrano mnie z Muszyny, trafiłam najpierw do Krakowa, gdzie zostaliśmy podzieleni ma mężczyzn i kobiety. Po dezynsekcji i innych zabiegach odstawiono nas na dworzec kolejowy i pojechaliśmy w nieznany świat. Celem tej podróży było miasto Pforzheim w Badenii-Wirtembergii. Tam znajdował się *Arbeitsamt* (Biuro Pracy). Przyjechali furmankami niemieccy bauerzy po robotników. Do wioski Mühlhausen zabrano pięć kobiet i pięciu mężczyzn. Trafiłam do rolnika gospodarującego na 13 ha (8 ha pola ornego i 5 ha łąk i sadów). Był tam duży piętrowy dom z poddaszem, była też gospoda „Pod wołami”. W podwórzu stał ogromny piętrowy budynek gospodarczy, mieszczący stajnie. Z jednej strony stały trzy dojne krowy, jałówka i cielę, a po drugiej stronie znajdowały się trzy boksy z końmi – dwoma pociagowymi i jednym źrebakiem. Musiałam nauczyć się dojenia krów, wywożenia obornika na taczkach ze stajni i różnych prac w polu. Gospodarstwo stało na dość wysokim poziomie – oprócz dwóch koni dyspo-

nowało paroma maszynami rolniczymi. Właścicielami byli 70-letnia gospodyni oraz jej syn wraz z przyszłą żoną. Gospoda była czynna tylko wieczorem. Czasem przychodziło kilku piwoszy i sęczyło po łyeczku piwo z kufła. Było też w bufecie czerwone wino oraz likier, ale nie cieszyły się wielkim zainteresowaniem. Nie widziało się pijaków, choć w tak małej wiosce były trzy gospody (oprócz tej jeszcze „Pod Koroną” i „Pod Orłem”). W wiosce znajdowała się też fabryka zegarków, ale w czasie wojny przekształcono ją na fabrykę śrub do samolotów. Była własnością Vogla. Mieszkańcy Mühlhausen stanowili społeczność dwuwyznaniową – rzymskokatolicką i ewangelicką. Tym samym były dwa kościoły oraz – na zakręcie drogi – kaplica Maryjna. Z początku wolno nam było chodzić do kościoła, ale pod koniec 1943 roku odebrano nam ten przywilej. Do kaplicy raz w tygodniu przyjeżdżał ksiądz i odbywała się msza św. Bez spowiedzi, tylko po rachunku sumienia, można było przyjąć komunię św.



Mühlhausen na starej pocztówce

Gospodarze dostali jeszcze jednego robotnika, jeńca wojennego, Francuza, który nie miał pojęcia o pracy na gospodarce, gdyż był z zawodu inżynierem. Simon strasznie męczył się z końmi, ale musiał się przyzwycząić. Pokazywał mi zdjęcie żony stojącej przy samochodzie. Wydało mi wtedy się śmieszne, że miał przy sobie klucz do samochodu. Ponieważ był jednak oficerem, mógł iść do oflagu. Po jego odejściu do gospodarstwa trafił następny Francuz, Nicolas. Ten pochodził ze wsi i nie miał kłopotów z przystosowaniem się do pracy. W 1943 roku syn gospodyni, już wtedy żonaty z Emmą, został powołany do wojska. Walczył pod Stalingradem. Było za mało rąk do pracy, bo stara Niemka nie mogła pogodzić się z synową ewangeliczką i przeprowadziła się do córki, do sąsiedniej wsi. Do nas doszła Ukrainka Anna. I tak nas troje obcokrajowców harowało na gospodarstwie prawie za darmo (12,5 marki na miesiąc).

Pomimo że, jak wspomniałam, jeszcze w Muszynie uczyłam się krótko niemieckiego, nie rozumiałam na początku pobytu w Niemczech słownictwa związanego z gospodarstwem i nie przyznawałam się do jakiegokolwiek znajomości tego języka. Pewnego dnia poszłyśmy z gospodynią (był to rok 1940) do pracy w polu z grabiami. Teren podobny był do naszych Karpat. Za polem, na którym pracowałyśmy, rozciągały się nieużytki, a na nich jakieś zabudowania. Skojarzyłam teren z lotniskiem i zaczęłam kombinować,



Barak przy lotnisku szybowcowym
w okolicach Mühlhausen

przypominając sobie słówka z lekcji, jak zapytać, czy w budynku znajduje się samolot. Kiedy w końcu udało mi się sformułować to pytanie, gospodyni popatrzyła na mnie poważnie i powiedziała: „Hela, ty znasz niemiecki! Dlaczego stale mówisz *nerosumie*?”. Nie wiedziałam, jak to wytłumaczyć i przestraszyłam się, że uznają mnie za szpiega. Niby nic nie rozumiem, a tu nagle pytam o samoloty! Kiedy więc wróciliśmy do domu, pobiegłam na poddasze, do swojej izby, wzięłam zeszyt z notatkami z „Jasnej” i pokazałam go Niemce. Obejrzała, uśmiechnęła się, poklepała mnie po ramieniu i powiedziała: „No, już dobrze”. Teren, przy którym wtedy pracowałyśmy, rzeczywiście okazał się lotniskiem – dla szybowców. Z próbami tłumaczenia z polskiego na niemiecki lub odwrotnie miałam jeszcze kilka „przygód”, ale przez pięć lat pobytu w Niemczech nie bardzo poprawiałam znajomość języka – surowo zabroniono nam kontaktować się z niemieckimi żołnierzami, z cywilami zresztą też. Nie rozmawiano z nami na żadne tematy – wydawano tylko polecenia.



Gospoda „Pod wołami”



Kapliczka Maryjna w Mühlhausen

W roku 1943 nasz ojciec wybrał się do Krynicy do *Arbeitsamtu* (Biura Pracy), licząc, że może uda mu się dostać jakąś zapomogę – dwie córki pracowały wszak dla III Rzeszy od świtu do zmroku. Powiedział sąsiadowi, gdzie jedzie, jednak już nie wrócił. W Krynicy na Deptaku został postrzelony niemiecki oficer; w jednej chwili nadjechały ciężarówki i Niemcy załadowali na nie wszystkich złapanych. W łapance znalazł się także i nasz ojciec. Wszyscy zostali wywiezieni do Oświęcimia, a po pewnym czasie nadeszła do burmistrza Portha wiadomość, że niejaki Józef Pletenik „zmarł w obozie Oświęcim na katar kiszek”.

Był luty 1945 roku. Miasto Pforzheim, liczące ok. 80 tysięcy mieszkańców, zwano

złotym miastem, ponieważ produkowano tam zegarki oraz złotą i srebrną biżuterię. W obrębie miasta, a także w „naszym” Mühlhausen, pracowało wielu chałupników, produkując srebrne sygnety, kolczyki i łańcuszki. Wojna zbliżała się ku końcowi, a to miasto ani raz nie zostało zbombardowane. Krążyła opowieść, że angielska królowa nie pozwala zniszczyć tych skarbów, bo to Anglia przejmie je po wygranej wojnie. Ale, niestety, pewnego lutowego wieczoru został ogłoszony alarm bombowy, syreny wyły, uciekano do piwnic. Był to nalot dywanowy – trzy tysiące samolotów zaczęło zrzucić bomby na miasto. Ziemia zadrżała, z „naszej” stodoły pospadały dachówki (wieś oddalona była o 18 km od bombardowanego miasta). Zrzucano bomby burzące i zapalające. Nalot trwał 18 minut, a zginęło 50 tysięcy mieszkańców, tylko niektóre obrzeża miasta ocalały. O pierwszej w nocy ktoś zaczął dobijać się do drzwi. Zeszliśmy z Emmą na dół – przed drzwiami stał jej wujek z rodziną, w tym z dwójką dzieci. Powiedział: „Wracamy z piekła”. Opowiadał, że całe miasto zburzone, fosfor wcieka do schronów i piwnic, mieszkańcy duszą się. Rzeka Nagold pełna trupów, gdyż palący się ludzie wskakiwali do wody. Rodzina ocalała, ponieważ schroniła się w altanie ogrodowej. Ich dom leżał w gruzach, cały swój dobytek przywlekli na ręcznym wózku do wożenia węgla.

Potem słyszałam różne tragiczne historie, na przykład o żołnierzu, który na drugi dzień po nalocie przyjechał z frontu na urlop. Dom był zburzony, szukał w nim swej matki i w końcu znalazł, spaloną przez fosfor. Zabrał ją do plecaka, by ją pochować. Wojna straszna jest zawsze i wszędzie...

Miasto zostało po wojnie odbudowane, podobno jest tam teraz wielu imigrantów z Turcji. Mój gospodarz – Otto Eble – zmarł na chorobę Bürgera, amputowano mu nogi. Emma zmarła na raka.

Po zakończeniu wojny w maju 1945 roku byliśmy już wolni. Amerykańska organizacja UNRA zorganizowała dla nas – wyzwolenców – obozy, gdzie mogliśmy się udać i tam przebywać do chwili podjęcia decyzji: wracać do Polski, czy też emigrować do Stanów Zjednoczonych lub Australii. Ponieważ miałam stryja w Detroit, chciałam wyjechać do niego, razem z dwuletnią już wtedy moją córeczką. Stryj czynił starania w tym kierunku, jednak listy od niego poginęły, gdyż załączał w kopercie „tradycyjnie” 5 dolarów. W rezultacie nieporozumienia do naszego amerykańskiego wyjazdu nie doszło. Widocznie tak miało być...

Wraz z ojcem mojej córki wróciłam do Polski. Był to rok 1947. Osiedliliśmy się na Ziemiach Odzyskanych w Żarowie koło Świdnicy. Wiadomo, po wojnie brak było wszystkiego, także żywności. Mój mąż zapadł na gruźlicę i zmarł w wieku 41 lat. Zostałam z dwiema córkami. Nadal życie mi się nie układało, więc wróciłam z dziećmi do rodzinnej Muszyny.



Helena Jarosz w młodości

Moja siostra Stanisława także wróciła do naszego miasteczka, i to już w 1945 roku. Przyjechała z narzeczoną, którego poznała, gdy wracali z Niemiec po skończonej wojnie. Wyszła za niego za mąż. On pochodził z Równego, zza Buga, więc nie mógł tam wrócić. Zaczął pracować przy odbudowie tunelu w Żegiestowie i powoli doprowadził do porządku izbę, w której mieszkał kiedyś nasz ojciec. Po jego śmierci sąsiad urządził w niej stajnię. Kiedy siostra z mężem wprowadzili się w końcu pod numer 36, zajęli się rodzeństwem, szczególnie siostrami.

Brat Jaś pożegnał się z wujostwem. Miał już wtedy 16 lat. Przeszedł przez Poprad w Miliku na stronę czechosłowacką i wybrał się do Legnawy. Trafił do domu greckokatolickiego popa, gdzie dano mu robotę przy pasieniu krów. Po pewnym czasie wrócił do Muszyny w nowym ubranku, kupionym za zarobione pieniądze. Potem zgłosił się do Szkoły Górniczej w Jaworznie, jednak praca w kopalni mu nie odpowiadała, wrócił więc i pracował w pensjonatach jako portier, zanim nie poszedł do wojska.

I tak skończyły się moje i mojego rodzeństwa lata dziecięce i młodzieńcze...



Pamiętniki autorki z lat okupacyjnych i powojennych. Obok tradycyjnych pamiętnikowych wierszyków, które w tamtych latach nabierały jednak szczególnego znaczenia np.:

*Jeśli Cię ktoś zrani
i w sercu zostanie blizna,
pamiętaj, że stokroć więcej
cierpiała nasza Ojczyzna,*

przetrwały wzruszające wpisy w języku polskim, ukraińskim i francuskim, często dziecinny charakterem pisma. Zachowały się też krótkie notatki - przemyślenia właścicielki, np.:

*Życie to wartki prąd wody
Raz porywa ze sobą
A drugi raz wyrzuca na brzeg...*